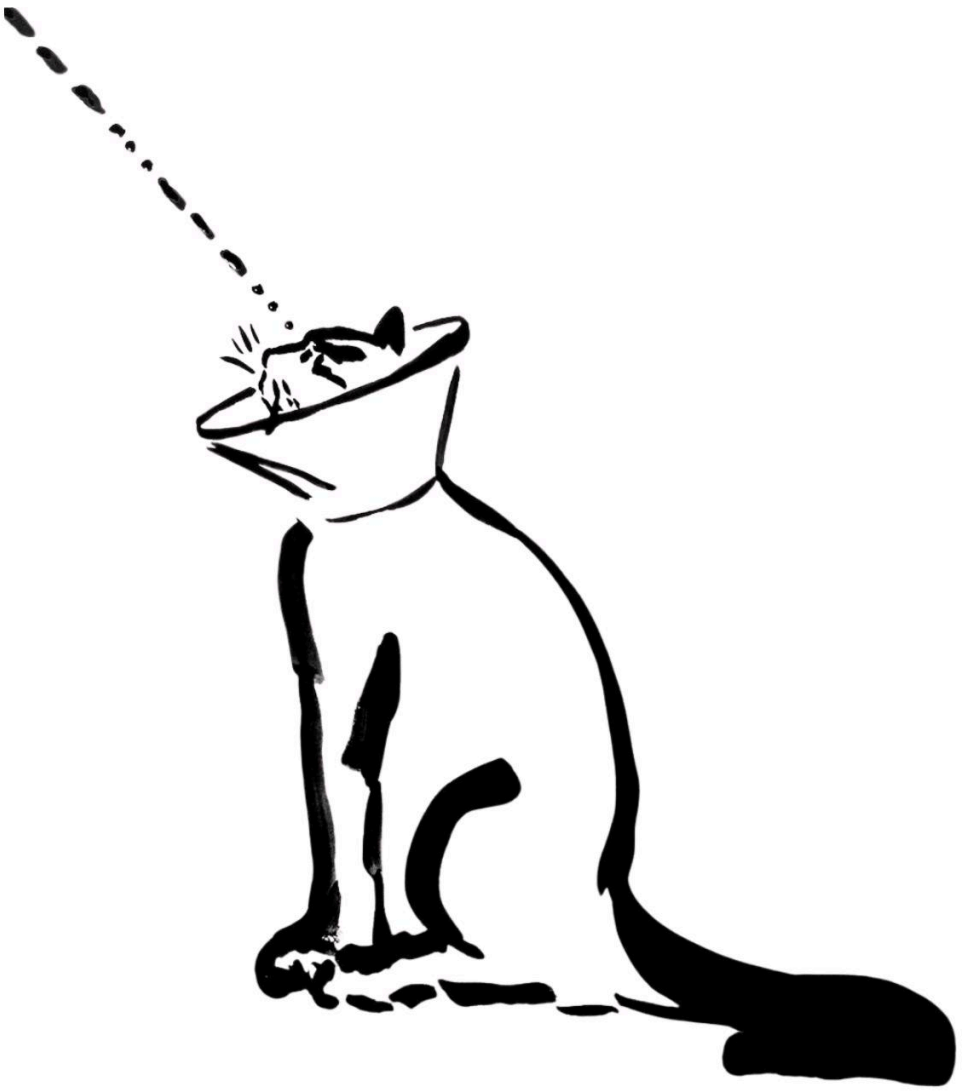
TOMASZ MAJERAN

LATEM 2009



Tomasz Majeran: Latem 2009

Niniejszy tekst został udostępniony przez autora na licencji Creative Commons (CC) BY-NC-ND 4.0, co oznacza m.in., że MOŻNA go we własnym zakresie kopiować, rozpowszechniać, odtwarzać i wykonywać, w przypadku zaś jakiejkolwiek formy kopiowania, rozpowszechniania etc. TRZEBA podać jego pełny tytuł oraz imię i nazwisko autora.

https://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/4.0/deed.pl

Autor prosi, aby czytelnicy rozważyli przekazanie datków na rzecz organizacji niosących pomoc Ukrainie walczącej z rosyjską agresją.

Rysunek na okładce: Pola Dwurnik

Wrocław 2025

Nota o pierwodruku:

Zapiski te ukazały się po raz pierwszy na polskiej stronie National Geographic w 2009 roku i były tam dostępne ponad 6 lat. Następnie obszerne fragmenty w przekładzie Martina Veselki opublikował czeski kwartalnik „Partonyma” nr 31-32 (2019). Całość, gruntownie przeredagowana, ukazała się drukiem dopiero w numerze 6/2023 miesięcznika „Twórczość”. Postscriptum pod tytułem „Into the Wild” nie było dotąd publikowane, jeśli nie liczyć efemerycznego epizodu w social mediach.

Latem 2009

zgubna poriomania, szalone podróże –
nie z Bordeaux do Nűrtingen, ale zawsze

Andrzej Sosnowski, Latem 1987

13 sierpnia 2009
Przełęcz Użocka – Bukowiec

Nad morze można było iść szutrową drogą, przeciąć mierzeję niemal w linii prostej i po dwudziestu minutach wygrzewać się na plaży, ale dziadek często wybierał ścieżki przez las. Szedł przodem, kijem odchylając chaszcze, ja za nim, sześcioletni, krok w krok, stawiając stopy dokładnie w miejscach, gdzie w ściółce odbijał się szybko niknący ślad. Idź za mną, ostrożnie, mówił, i straszył żmijami, które rzekomo czyhały pod konarami drzew. I straszył też gajowym, który z dwururką patroluje okolicę, wyłapuje nieposłuszne dzieci, rozbiera je do naga, smaruje miodem i głową w dół wiesza nad mrowiskiem. W przejęciu nie wiedziałem, czy szukać pod nogami błyskawicznych kształtów, czy wypatrywać oblizanych szkielecików na gałęziach. Zostało mi to do dzisiaj – jeśli istnieje coś takiego jak pamięć operacyjna, która zasila te wszystkie teledyski z podróży, które czasem w głowie przewijają się przed snem, to wypełnia ją nie tylko bezdech dalekich horyzontów, gór i burz, ale także abstrakcja liści, gałązek, kamyków i owadzich trupków pod stopami.

Czy dziadek nadużył władzy? Oczywiście. Zrobiłbym dokładnie to samo na jego miejscu, by choć na godzinę wyrwać się od babci i w spokoju wyjść na grzyby, bo nie chodziło o żmije i szkielety, ale o grzyby. Sześcioletni brzdąc był niestety w pakiecie, należało więc uporządkować i znormalizować spacer, a cóż robi to lepiej niż bajka i strach? Norma jest opresją, która ratuje życie, a przynajmniej święty spokój – z punktu widzenia gerontokracji na jedno zresztą wychodzi. Gdzieś tu był szkielet takiego Sebastiana, co nie chciał jeść kolacji.

Strach przed gajowym udało się z wiekiem opanować, żmii boję się do dzisiaj, chociaż nigdy żadnej nie spotkałem. Zamień „chociaż” na „ponieważ”, dodaj bibliografię i masz gotowy dyplom na kulturoznawstwie. *Objects in the memory are closer than they appear*, pomyślałem przeglądając się w lustrze kałuży, która robi tutaj, na Przełęczy Użockiej, za źródła Sanu, za ostatnie ognisko oporu przed globalnym ociepleniem. *Wzruszyłem ramionami i strząsnąłem duszę*. Pora wracać, pomyślałem, wziąłem kije w łapy i ruszyłem do domu.

O 17:20 nad pobliskim Opołonkiem zerwała się burza.

14 sierpnia 2009
Bukowiec – Tarnica – Ustrzyki Górne

Idę wzdłuż południowej granicy Polski. To dawny, jeszcze licealny pomysł, który dzisiaj, na połowie czasu, dość niespodziewanie się realizuje. Być może powinienem

czuć coś w rodzaju ekscytacji, poczuć się jak nastolatek na gigancie, ale myślę głównie o tym, że statystycznie rzecz biorąc najbardziej niebezpieczną część wycieczki mam już za sobą, czyli drogę polskim autobusem po polskich drogach. Przygody są przereklamowane. W ciągu roku więcej osób ginie w wypadkach drogowych na trasie Wrocław – Ustrzyki niż na wszystkich górskich szlakach polskich Karpat i Sudetów.

Przygody są przereklamowane, cieszmy się tym, co mamy. Dzisiaj o czwartej nad ranem pod podszytą wiatrem wiatę na parkingu w Bukowcu podjechała terenówka Straży Granicznej i dwóch miłych kaprali (dla mnie wszyscy ludzie w mundurach to kaprale) grzecznie, acz stanowczo wyrwało mnie ze snu. Byli chyba mocno zawiedzeni, że nie złapali jakiejś kontrabandy, taliba czy choćby seryjnego mordercy poszukiwanego międzynarodowym listem gończym. Ucięliśmy sobie miłą pogawędkę, a na koniec wręczyli mi świstek papieru z całodobowym numerem telefonu zaufania do strażnicy w Stuposianach i przykazaniem, aby dzwonić, gdybym spotkał jakichś obcojęzycznych. Dokładnie tak powiedzieli: obcojęzycznych.

Nawet tak bardzo nie zdziwiłem się. Do świeckiej tradycji moich wypadów w góry należą bowiem takie lub inne kontakty z pogranicznikami, ale trzeba przyznać, że często sam się prosiłem. Dużo historyjek do opowiadania. Idea granic państwowych prezentuje się zapewne świetnie w atlasie historycznym, ale w górskiej praktyce, kiedy już naprawdę musisz zrobić kupę, a jedyne ustronne miejsce jest po nielegalnej stronie szlaku, pojałtański porządek Europy jest ostatnią rzeczą, którą zawracasz sobie głowę.

Więc nie całkiem legalnie, bo poza szlakiem, najpierw płajami, a potem ścieżkami wydeptanymi przez dziką zwierzynę, bladym świtem ruszyłem w góry. Szlak przez Muczne oznaczałby dodatkowy dzień, którego nie mam. Ale jako nieomal tajny współpracownik Straży Granicznej mogłem sobie chyba pozwolić na lekkie przegięcie dzięcieliny? Z Bukowca leśna droga prowadzi prawie pod sam Wołowy, który minąłem trawersem od południa, by utonąć na godzinę w oceanie jagód. Po uzupełnieniu witamin (*mikroelementy stanęły na straży komórek*) na przełaj przez połoninę na Halicz. A potem standardowo: Tarnica – Wołosate – Ustrzyki Górne.

A na Tarnicy mnóstwo obcojęzycznych. Sam słyszałem jak mówili „pełen wypas”, zupełnie nie zważając, że archaiczna forma przymiotnika „pełny” powinna być używana tylko w funkcji orzecznika w orzeczeniu imiennym. Ale na telefon do Straży Granicznej nie zdecydowałem się.

15 sierpnia 2009
Ustrzyki Górne – Krzemieniec – Przełęcz pod Dziurkowcem

Plecak mam stanowczo za ciężki. Z wodą i żarciem grubo ponad 20 kilo. Na razie wyrzuciłem parasol. Po prostu założyłem, że przez najbliższe 30 dni nie będzie padać. Następna w kolejności jest menażka. Spodnie i koszule na razie trzymam, internet też. I Hrabala. Solipsysta na wakacjach.

*

Z Ustrzyk wyszedłem dopiero o jedenastej, więc wiedziałem, że dzisiaj będzie wyrypa i napieranie. Ale jakoś rano nie mogłem sobie odmówić ani dodatkowej porcji snu, ani kubka kawy, który tradycyjnie i niepostrzeżenie zmienił się w trzy kubki kawy i pół paczki fajek. Bo, mój drogi pamiętniczku, ciągle jestem w środku taki zurbanizowany, taki niezbyt rustykalny, taki rozpieszczony. Ale spokojnie, to przejdzie.

*

Tuż przed zmierzchem minąłem na Dziurkowcu trzech młodych Słowaków nostalgicznie popijających wódeczkę i kontemplujących w milczeniu zachód słońca. Najwyraźniej mieli ochotę zrobić to samo co ja – rozbić w jakimś wygodnym miejscu wielogwiazdkowy hotel z widokiem na połoniny.

16 sierpnia 2009
Przełęcz pod Dziurkowcem – Roztoki Górne – Balnica

Dzisiaj dzielnie – pobudka o 5 rano, poranne ceregiele i w trasę. Chciałem jeszcze cyknąć fotkę namiotowi, gdyż prezentował się wyjątkowo seksownie na tle połoniny, ale oczywiście przez zimną noc bateria w komórce całkiem zdechła. Kodak ergo zoom. No trudno, naładuję w Roztokach, było tam kiedyś fajne schronisko, squat właściwie. Ale prąd mieli, pamiętam, bo słuchaliśmy z kaseciaka „Blue Valentines" Toma Waitsa, a jeden astronom z Warszawy miał nawet teleskop i potem ta upiorna Wenus śniła mi się po nocach.

*

Dotarłem tam koło południa. Ledwo poznałem chałupę, w której kiedyś nocowałem – dziś piknie odpicowana i podpisana bez polotu „Schronisko Cicha Dolina". No i bardzo dobrze. Niech się wiedzie. Grunt, że schronisko.

Przed drzwiami drewniana tabliczka, typowy egzemplarz rękodzielnictwa ludowego (technika tradycyjna – lakier i lutownica), dumnie informuje wypalonymi literami, że w dniach takich i owakich roku pańskiego 1957 nocował tu Karol drugi tego imienia Wojtyła. Oho, chrześcijanie – ucieszyłem się – głodnych nakarmić, spragnionych napoić, komórkę naładować, wi-fi udostępnić. Te sprawy. No dobrze, wystarczy mi, jak by powiedział Maciek Malicki, kawałek wody do bidonu i kawałek prądu do komórki, żeby w razie czego GOPR zawezwać, jak mnie jakaś żmija usiecze. Piętnaście minut i w drogę.

– Takie usługi tylko dla naszych klientów. – Mężczyzna w drzwiach był tyleż stanowczy, co znudzony. Z wyglądu przypominał Józefa z Arymatei. Nie mam co prawda bladego pojęcia, jak wyglądał Józef z Arymatei, ale zawsze mi się kojarzył z panem Zdziśkiem z dziewiątego, który chodził po świecie przybity, jakby właśnie pożyczył na trzy dni grób Mesjaszowi.

– Ke? – zdębiałem.

– Przykro mi. Do widzenia.

O, Święta Lutownico, zdaje się, że przegapiłem moment, w którym woda w górach stała się usługą? Przepraszam, że naoddychałem, już nie zatruwam. Przechodniu, powiedz Sparcie, że tu Wojtyła miał zaparcie. Tak, może pan sobie wziąć ten epigramat zupełnie za darmo i wylutować na płocie. Proszę potem pociągnąć bezbarwnym. Nie ma sprawy, do widzenia.

*

Chyba pierwszy raz zdarzyło mi się, że ktoś odmówił wody na szlaku, a dobrych parę dych po górach się szwendam. Powiedzmy, że prąd mógł wydać się gościowi zbyt ekstrawagancki i za mało samarytański – w końcu koniec świata, psy dupami szczekają, baza ludzi umarłych, technika jeszcze nie dojechała, bo wpadła w zasadzkę upowców pod Baligrodem. Ale woda? Z drugiej strony – czasem nawet takie banalne baterie w telefonie mogą decydować o czyimś, niekoniecznie moim, zdrowiu lub życiu, zwłaszcza w górach. Trzeba będzie uważać na te cholerne żmije.

*

Patrzeć pod nogi, patrzeć pod nogi. Tuż za Solinką w głupi sposób zgubiłem drogę – zamiast grzecznie pójść torami kolejki wąskotorowej wybrałem ścieżkę przez łąkę, zapewne skuszony nieco diabolicznym widokiem wysokich na dwa i pół metra retort do wypalania węgla drzewnego. Dość, że błądziłem ponad godzinę po pobliskich

pagórkach. W końcu, zrezygnowany, wszedłem do płynącej wartko Solinki, która, sądząc po mapie, musiała mnie z powrotem doprowadzić do tych piekielnych kotłów, kotły do torów, a tory dalej do Balnicy. Idąc ponad kilometr pod prąd górskiego potoku czułem się nieskromnie jak tajemniczy klient, który w imieniu Firmy, incognito i naocznie, bada jakość jej produktów i usług. No więc potoki górskie się panu udały, panie B. I świeża mięta przy brzegach. Zdzisław z Arymatei jakby mniej, ale grób z nim i jego agroturystyką. Dobrze, że chociaż ten potok jest jeszcze za darmo.

17 sierpnia 2009
Balnica – Wola Michowa – Schronisko w Łupkowie

Najgorzej. Dzisiaj cały język, cały mózg zredukował mi się na kilka godzin do jednej linijki. Szedłem jak ten dendrolog przez bukowy las i śpiewałem, że „nieee mogeeę znaleeeźć buuukooowinyy". A i im bardziej próbowałem nie śpiewać, im bardziej próbowałem myśleć o czymś innym, tym bardziej ta fraza wracała. Znowu i znowu. Te durne szlagiery, co wpadają jednym uchem i za cholerę nie mogą znaleźć drugiego. To jak z żelazkiem, kranem czy drzwiami – trzydzieści razy wrócisz się do domu i sprawdzisz, wyłączysz, zakręcisz i zamkniesz, a i tak potem namolne ruminacje zepsują ci pół dnia albo i dłużej.

*

Bo wczoraj wieczorem w Balnicy było ognisko i młodzież wjechała w pustą noc domem, gitarą i piórem, czyli najgorszym grafo piosenki turystycznej. Śpiew godowy niósł się po dolinie i mnie nie ominął. Gdybym wiedział, że mnie zarażą, że zepsują mi cały następny dzień, to bez najmniejszych skrupułów wygrzebałbym się ze śpiwora, przysiadł do nich i elegancko, jak zawodowy *christmas spirit killer*, wytłumaczył, w jakim miejscu się teraz znajdują i co ich czeka w najbliższym czasie. Że wkrótce sami odkryją całą niewspółmierność afektów i efektów. Że od zawsze do nigdy przechodzi się łatwo, a targanie gitary po górach niekoniecznie jest najlepszym sposobem, żeby zamoczyć – i nawet w swoim lichym wieku mają alternatywy znacznie bardziej wydajne energetycznie. Temu patyczakowatemu chłopcu z polonistyki, który autycznie kołysał się na kamieniu, beznadziejnie wpatrzony w milczącą brunetkę po drugiej stronie ognia, wyjaśniłbym, żeby dał już sobie spokój, szkoda zachodu, bo dzisiaj co prawda da mu pomacać, ale za pół roku i tak zrobi sobie dziecko z przystojnym blondynem z politechniki, który będzie mieć tę nad nim, patyczakowatym chłopcem, przewagę, że będzie blondynem i będzie z politechniki. Tej ładnej okularnicy, która kłóciła się z brzydkim okularnikiem, powiedziałbym, że dobrze kombinuje, ale i tak spieprzy, bo w końcu jednak się zaobrączkują, a najpóźniej za dziesięć lat on, już dorobiony i zrobiony, wymieni ją najpierw na

sekretarkę, a potem na córkę węgierskiego wspólnika. Na koniec zaś wszystkim wyrecytowałbym z pamięci fragment poematu Andrzeja Sosnowskiego:

Ha, chociaż taka zwyczajna młodzież
pewnie zawsze będzie wolała faceta z gitarą,
który się zabija. Tutaj, powiedzą, tu jest autentyczność,
cudowny chłop, który dużo wiedział i naturalnie
nie mógł już wytrzymać. Im jest zawsze mało,
oni zawsze będą w beznadziejnej sferze
„musisz być sobą". Frajerzy, jeszcze nie odkryli
czaru fałszerstw i przebrań, jeszcze nie dostali
anonimowej pocztówki z napisem: LIFE IS NOT
A CABARET (It's a fucking circus)

*

Dobra, wiem, przesadziłem w tej projekcji, ale musiałem w końcu odreagować tę nieszczęsną bukowinę, która zniszczyła mi dzień. Tak już mam, że jak mnie na dłużej przytka głupia fraza, to później, kiedy już wreszcie sobie pójdzie i mózg się odblokuje, słowa wylewają się ze mnie nieprzyzwoitą logoreą. Ale nie obwiniam się zbytnio – w dużej mierze adresowałem tę diatrybę przeciwko sobie samemu sprzed dwudziestu lat.

18 sierpnia 2009
Schronisko w Łupkowie – Kanasiówka – Czeremcha

Przełęcz Łupkowska leży nieco poza szlakiem, więc trzeba do niej dojść torami od stacji w Łupkowie, a potem, kilkadziesiąt metrów przed tunelem kolejowym, wdrapać się na niewielką skarpę i przedrzeć przez opuszczony przed laty, niemiłosiernie zachwaszczony sad. Przełęcz rozdziela Bieszczady i Beskid Niski, a także Karpaty Wschodnie i Zachodnie. To tu od lat państwa wysyłają swoich chłopców na rzeź przy okazji różnych wojen, powstań, konfederacji czy buntów. Również i ja swoje wejście okupiłem krwią z podrapanych łydek, ale opłaciło się – trud został wynagrodzony śniadaniem z cudownie słodko-kwaśnych papierówek, które zrywałem z jabłoni wyrosłych na zgniłych trzewiach wczorajszych bohaterów.

*

Ilu ludzi mijamy w ciągu dnia? Nawet w niewielkiej miejscowości banalne wyjście do pracy czy na zakupy oznacza, że miniemy dziesiątki, a może i setki twarzy. Dzisiaj przeszedłem (na oko) jakieś 40 kilometrów i minąłem:

– zawiadowcę stacji w Łupkowie,
– dwóch chłopców z obłędem w oczach i wykrywaczami metalu w dłoniach,
– dwóch leśników z Komańczy (ostrzegli mnie przed miejscowym niedźwiedziem),
– czworo turystów ze Słowacji (nie licząc psa),
– dwóch polskich turystów (sądząc po akcencie – zawodowych górali spod Rabki).

W sumie 11 osób. Beskid Niski.

*

Z góralami uciąłem sobie dłuższą pogawędkę. Wypytali mnie o drogę w stronę Łupkowa, ja ich – w stronę Krynicy. Kiedy starszy góral dowiedział się dokąd naprawdę zmierzam, nie okazał niestety krzty podziwu, zdziwienia ni szacunku, jeno spytał, do kiedy mam czas. „Do połowy września" – odpowiedziałem. Zlustrował mnie bardzo uważnie od stóp do głów, dłużej zatrzymał wzrok na butach i plecaku, chwilę pomyślał, ponownie zlustrował, po czym rzekł: „Da radę".

19 sierpnia 2009
Czeremcha – Barwinek – Grab

Świt w Czeremsze i taka niezapominajka: kilkadziesiąt metrów od wiaty, w której spałem, tablica z napisem: Nordkapp 3190 km. A z drugiej strony: Babadag 1034 km. Nie muszę nawet patrzeć na mapę, bo pamiętam: niedaleko stąd leży znana (skądinąd, poniekąd) wieś Czarne.

20 sierpnia 2009
Grab – Dębi Wierch – Blechnarka

Na świecie liczą się tylko śliwowice słowackie, węgierskie i słoweńskie. Osobiście preferuję te pierwsze, ale pojednawczo mogę uznać, że wszystkie równo, godnie i sprawiedliwie dzierżą palmę pierwszeństwa. Uwielbiam śliwki, ale niestety tak już zostałem skonstruowany, że po trzeciej śliwce mój układ gastryczny wybija się na niepodległość. Śliwowica jest więc najlepszym dostępnym mi sposobem na przyjmowanie esencji tego owocu w uczciwych ilościach.

Wczesnym popołudniem, po przedarciu się przez barszcz pokrzyw na szlaku, dotarłem do przejścia granicznego w Koniecznej, przy którym wesoło biesiadowało trzech słowackich staruszków w moim wieku. Milan, Dušan i Vladimir. Dość szybko zakamratowaliśmy się, a kiedy powiedziałem skąd i dokąd idę, jak spod ziemi wyrósł przede mną solidny kielonek wypełniony po brzegi jasnozłotą śliwowicą.

i resztę dnia wędrowaliśmy już razem w iście słowackim stylu, który, nie ukrywam, jest mi bardzo bliski – z przerwami na kolejkę na każdym szczycie, przełęczy, polance czy przesiece. A że bimber jak boks zbliża ludzi, udało się poruszyć doprawdy imponujące spektrum tematów: od niuansów historii politycznej Europy początku XX wieku, po Bratysławską Lirę i Bursztynowe Słowiki – ze szczególnym uwzględnieniem twórczości Karela Gotta, Heleny Vondračkovej, Maryli Rodowicz i Ałły Pugaczowej. Polej, polej, malovaný džbánku, znasz ten czas. Bum, bum, bum, czarny kot się skrada.

Na koniec Dušan zaprosił mnie na narty do Sabinova, Milan wyznał miłość, a Vladimir zdradził tajniki receptury na domową śliwowicę. Jest bardzo prosta, muszę kiedyś spróbować. Zaczyna się od „miej śliwkowy sad na południe od Koszyc”.

21 sierpnia 2009
Blechnarka – Lackowa – Krynica

O jakości śliwowicy Vladimira najlepiej świadczy fakt, że wstałem dzisiaj o piątej rano rześki jak Linux i żwawo ruszyłem w drogę, zupełnie zapomniawszy, że przecież od kilkunastu lat nie żyję, a moje resztki walają się po polach między Lackową a Mochnaczką. Przynajmniej w niedalekim, oddalonym raptem o kilkanaście lat, wszechświecie równoległym, w którym czterech głupków z Wrocławia postanowiło popełnić samobójstwo, wychodząc w zimowe góry co prawda bez sprzętu i przygotowania, ale za to z wybitnym o sobie mniemaniem. W tym wszechświecie uratowała ich stara góralka, ale w tamtym zamarzli na kość kilkaset metrów od wiaty przystanku PKS-u we wsi Izby. Jak wiadomo, głupota, żeby zabić, wcale nie potrzebuje wysokich gór i spektakularnych krajobrazów. Wyjątkowo nudna historia, którą kiedyś oczywiście opowiem.

*

Chciałbym zachować w pamięci doskonale beztroski obrazek wczorajszego pijaństwa, ale to chyba niemożliwe. W pewnym momencie obudził się we mnie szalejący reporter bez granic i zacząłem podpytywać moich słowackich kamratów o Romów na Słowacji. Kiedy jednak usłyszałem owo nieśmiertelne „Nie jestem rasistą,

ale...", już wiedziałem, że święci się litania urazów, stereotypów, żali i uprzedzeń. Konflikt tli się jak torf, tuż za naszą południową granicą. Nie przyszedłem tu nikogo nawracać i nie jestem rasistą, ale ci moi Słowacy mogliby być bardziej ogarnięci.

*

A Krynica to zupełnie nie moje klimaty i wyglądam tu trochę jak z innej bajki. Chętnie skorzystam z kilku dobrodziejstw naszej cywilizacji (elektryczność, bankomat, poczta, karkówka) i zmykam. Super miasto, fajny kurort, serdecznie pozdrawiam, na pewno spodobałby się moim byłym, całe szczęście, teściom.

22 sierpnia 2009
Krynica – Muszyna – Piwniczna

Już myślałem, że w końcu obczaiłem, o co chodzi z tą numeracją słupków granicznych, ale nie, wciąż nie kumam. Są dwa numery. Jeden zmienia się dość rzadko, drugi często, z każdym słupkiem. Ten pierwszy – myślałem – to kolejny kilometr od styku trzech granic na Krzemieńcu, który minąłem tydzień temu. Ten drugi – to kolejny słupek na danym kilometrze. Może być ich kilka, ale zdarza się, że jest ponad 20, bo słupki rozstawione są nierównomiernie.

Ta teoria sprawdzała mi się do wczoraj, kiedy zszedłem do Mochnaczki w okolicach słupka 255/1, co oznaczałoby, zgodnie z mapą i intuicją, że mam za sobą jakieś 300 kilometrów (doliczam fragment ukraiński – ponad 30), ale dzisiaj, kiedy wróciłem nad granicę za Muszyną, słupki zresetowały się i znowu znalazłem się na osiemnastym kilometrze. To jednak jakaś numerologia wyższego rzędu – w sam raz dla kogoś, kto, jak ja, ma obsesje na punkcie liczenia, liczb i szukania ukrytych między nimi tautologii.

*

W Beskidzie Sądeckim pierwotnie chciałem skrócić drogę idąc przez Jaworzynę Krynicką, ale w końcu wybrałem wariant dłuższy, doliną Popradu, tuż przy granicy, po asfalcie. Sądziłem, że Lackowa dała mi w kość i trochę odpocznę, maszerując po płaskim, ale to właśnie asfalt mnie wytarmosił.

Asfalt i placek po góralsku (zbójnicku, cygańsku, węgiersku – niepotrzebne skreślić), który zjadłem w zajeździe Villa Elit w Żegiestowie. Im banalniejsza potrawa, tym większą ma skłonność do przyciągania różnorodnych i łaszących się do podniebienia nazw. Wyborną wyżerkę można poznać także po tym, że zazwyczaj ma

jedną, sobie i tylko sobie właściwą nazwę, niekoniecznie francuską. Być może ta uwaga odnosi się także do austerii. Dojmująca prostota potrawy zupełnie dziś nie przeszkodziła kucharzowi, żeby ją dokumentnie spieprzyć, bo zamiast solidnego placka ziemniaczanego dostałem ledwo przysmażoną z wierzchu, grulową breję, symbolicznie przetkaną bladymi kawałkami wołowiny. Zupka degeneratka.

*

Wieczorem rozszalała się ulewa. Szczęśliwie byłem już kilkaset metrów od Piwnicznej, więc zdążyłem się schować, a nawet dość szybko znaleźć jakiś suchy pokój. Teraz z radia dowiaduję się, że pada w całej południowo–wschodniej Polsce, a w Tatrach załamanie pogody uwięziło w górach dziewięciu turystów. Podobno jutro wieczorem ma przestać.

23 sierpnia 2009
Piwniczna – Przełęcz Gromadzka – Szczawnica

Dopiero rano przyjrzałem się dokładniej Ośrodkowi Wypoczynkowemu „Chemik”, do którego wczoraj trafiłem. Ależ ja świetnie pamiętam ten widok ubogich pokoików z FWP – z dwoma tapczanami na cztery osoby, trzeszczącą szafą, stolikiem z obowiązkową szmatką–ceratką, talerzykiem i dwiema szklankami, które trzeba sprawiedliwie rozdzielić w czasie i przestrzeni między zimną herbatę dzieciarni i ciepłą wódkę dorosłych. I jeszcze boazerią z dykty, i jeszcze chybocząca się umywalką, nad którą wisi zaśniedziały prostokąt lustra. No i radiem marki „Taraban”, które odbiera tylko Program 1 Polskiego Radia, choć podświetlany panel z nazwami socjalistycznych stolic jak nutami na pięciolinii obiecuje znacznie więcej. Warszawa, Praga, Berlin, Budapeszt. Napisałem „zaśniedziały prostokąt lustra”? Już całkiem mnie pogrzało. Chodziło o lustro, prostokątne. Zaśniedziałe.

*

Prognozy mówiły, że około jedenastej ma przestać padać, więc postanowiłem przeczekać. Prognozy kłamały. Owszem, o jedenastej przestało lać jak z cebra, a zaczęło po prostu padać. Bez przekonania wyszedłem w siąpawicę. Plan minimum: wreszcie zjeść coś porządnego i być może wejść na Gromadzką.

*

Dobry żurek w podle wyglądającym barze w Czerczu przywrócił mi trochę optymizmu. Mózg jest prosty w obsłudze i łatwo go oszukać. Wystarczy dać mu

trochę cukru, jak kucykowi na jarmarku, a z lujowej pogody zrobi się całkiem znośna. Zarzuciłem więc dziurawą pałatkę na plecak i dość żwawo, choć w deszczu, dotarłem na przełęcz, a że było jeszcze wcześnie, od razu pomaszerowałem na Jaworki i Szczawnicę, omijając Eliaszówkę, Przełęcz Rozdziela i Wysoką. Moja determinacja została wynagrodzona w naturze: na Jasielniku oberwałem po oczach panoramą Pienin wydobywających się spod chmur i mgły – i dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że lada moment będę w Tatrach i trzeba będzie to jakoś taktycznie rozegrać. Jakoś nie wierzę, że uda się przenocować nad Morskim Okiem. Poza tym pogoda wciąż niepewna. Zadzwoniłem do Magdy, żeby sprawdziła prognozy dla Tatr na najbliższe dni. Wiem, wiem, prognozy kłamią. Ale Magda mniej.

24 sierpnia 2009
Szczawnica – Spisška Stara Ves – Ždiar

Wczoraj z trudem znalazłem pokój w Szczawnicy. Górale łypią złym i niechętnym okiem na turystów, którzy chcą się zatrzymać tylko na jedną noc. Nabrudzi taki, światła i wody zużyje i jeszcze ma pretensje, że drogo. Dobra rada: mów, że chcesz czwórkę na tydzień, a reszta ferajny dojedzie jutro. Rano dementi i w nogi.

*

Bez map, bez GPS-a, więc na czuja, bazując na wrodzonej ogładzie i kulturze osobistej, ruszyłem ze Szczawnicy na Ždiar. Czyli przez Spisz, tuż przy granicy, ale po słowackiej stronie. To był dzień szeregu błędnych decyzji nawigacyjnych, ale żadnej z nich nie żałuję, choć, jak się zdaje, mocno nadłożyłem drogi.

Nie spotkałem ani jednego turysty. Spiska Magura, wbita między atrakcyjne Pieniny i Tatry, zachowuje dzięki temu sporo eremickiego uroku. A już wędrówka przez Ostrunię, wieś pełną starych, kolorowych chałup, była poniekąd jak wycieczka w czasie, przynajmniej w tym sensie, jaki podróżom w czasie nadał Epimenides, zasypiając na kilkadziesiąt lat w jaskini. Jednak ani żywy skansen architektury ludowej, ani łagodne wzgórza, ani nawet stado owiec defilujących przez Ostrunię tak mnie nie zaskoczyło jak szczekaczki, czyli megafony podwieszone na słupach. Widziałem takie już nieraz, i w Czechach, i na Słowacji, ale sądziłem, że sobie spokojnie rdzewieją po upadku komunizmu. A tu nie. Kiedy schodziłem do Veľkej Frankovej metalowe tuby nagle ożyły i w całej dolinie rozległo się łubudubu okropnego słowackiego disco, po którym nastąpił jakiś komunikat, którego oczywiście nie zrozumiałem (być może ostrzegano ludność przed nadchodzącym turystą), a na koniec kawałek całkiem przyzwoitego folku, chyba łemkowskiego.

*

Jeszcze trochę pobłądziłem w wiatrołomie koło Okzuhli i późnym wieczorem, zmaltretowany, dotarłem do Ždiaru, do domu pani Margity. Pani Margita, kochana pani Margita, zobaczywszy, w jakim jestem stanie, niemal siłą wepchnęła mnie do gorącej wanny, a potem nakarmiła rosołem z kołdunami i solidnym leczo z czerstwymi grulami (czyli jajecznicą na szynce z młodymi ziemniakami). Dopiero po tej zgrubnej reanimacji pozwoliła się porządnie przywitać i wypytać o sprawy w ždiarskim wszechświecie. Fero, jej syn, twierdzi, że zrobiłem dziś ponad 60 kilometrów. Nie chce mi się wierzyć, później sprawdzę. Tak czy owak przesadziłem i moje jutrzejsze ambicje turystyczne sprowadzają się do kilku prostych wyrazów: piwo, smażony syr, szegedyński gulasz. I piwo. I żadnych pieszych wycieczek.

25 sierpnia 2009
Ždiar – Rysy – Ždiar

Misterny plan uczciwego przebimbania całego dnia wziął w łeb – mój wewnętrzny budzik dostroił się do rytmu słońca, więc sam z siebie wstaję skoro świt. Po dobrej nocy pod puchową kołdrą siedzenie cały dzień w karczmie wydało mi się niedorzeczne, nawet jeśli przez chwilę kusiło wygodną panoramą Tatr Bielskich.

Ruszyłem na Rysy.

W zasadzie nie wiem, jak to się udało. Problemem nie są trudności w terenie, ale ekspozycja. Przed samym szczytem jest niewielki odcinek, krótka grań, technicznie raczej prosta i zabezpieczona łańcuchami, ale mimo to zaporowa dla kogoś z lękiem wysokości, bo po obu stronach kilkusetmetrowe przepaści. Widziałem tam ludzi rzygających ze strachu i sam prawie rzygałem.

Ten lęk wysokości z wiekiem tylko mi się pogłębia, dosadny znak, że coraz mniej można, że nie dla psa kiełbasa. Młodsze osobniki muszą więcej ryzykować, żeby odnieść sukces prokreacyjny, mają więc uruchomione hormony, które lęk wysokości wyciszają. Starsze już nie muszą i mogą egoistycznie pielęgnować własne geny. A precyzyjniej rzecz ujmując – do pewnego wieku bardziej opłaca się dbać o 50% swoich genów u własnych dzieci niż o 100% swoich u siebie. Ale trzeba przeżyć.

To jest ten sam mechanizm, który czasem każe jakiemuś Sebastianowi wsiąść na motor, żeby zabić się na śliskiej drodze 200 metrów za dyskoteką. Albo brzdąkać na gitarze przy ognisku.

Tym razem nie zabiłem się. Może dlatego, że moje geny wciąż jeszcze stawiają na reprodukcję? W każdym razie wróciłem bardzo późno, bardzo zmęczony, szczęśliwy. To wprost niewiarygodne, co endorfiny są w stanie zrobić z godnością szanującego się nihilisty i cynika.

26 sierpnia 2009
Ždiar – Łysa Polana – Zakopane

Wyprany, wykąpany, wysuszony nienerwowo podążyłem do Zakopanego. I wreszcie miałem okazję porządnie przyjrzeć się Ždiarowi, bo w poprzednich dniach tylko przemykałem przezeń późnym wieczorem lub w nocy. I Ždiar zmienił się bardzo. To już nie ta sama wioska pełna góralskich chałup, coraz więcej tu wyglancowanych pensjonatów i kwater na bawarsko-zakopiańską modłę. Pani Margita opowiadała (w swoim niepodrabialnym stylu, ja tylko nieudolnie przekładam jej góralską mikroekonomię na miastowy), że szaleństwo tzw. tanich kredytów dotarło także tutaj – i kto żyw brał duże pieniądze pod zastaw cennej ziemi i stawiał pensjonat, restaurację lub hotel, licząc, że inwestycja szybko się zwróci dzięki szerokiemu strumieniowi turystycznych pieniędzy. A tu figa z makiem. Po wprowadzeniu euro i huśtawce na giełdach Słowacja przestała być aż tak atrakcyjna dla Polaków, a i inne nacje tradycyjnie wędrujące w Tatry, głównie Czesi, Węgrzy i Niemcy, również zaczęły liczyć i oszczędzać. No i stoją te domy, odpicowane, goszczące na pół gwizdka, bo nie ma komu ich porządnie spatynować.

I chociaż nawet słowaccy kelnerzy uznali w końcu skutki kryzysu i zrobili się dla turystów jakby milsi, to ja i tak od tych wszystkich wymuskanych pensjonatów wolę prosty, stary, drewniany dom pani Margity. Jeżeli ktoś nie oczekuje bizantyjskich luksusów, ceni sobie ciepłą atmosferę, rozsądne ceny i lubi porozmawiać z ludami tubylczymi, to podaję współrzędne:

Margita Slebodová
059 55 Ždiar 203
Tel. (052) 44 98 090

Warto wcześniej zadzwonić i upewnić, czy są wolne miejsca. Dogadać się łatwo, słowacki w ogóle jest bardzo prosty. Wystarczy wolno mówić po polsku i każde zdanie kończyć śpiewnym „hej”.

*

Nastękałem się na wypaśne domki, nastękałem, a wieczorem i tak klepnął mnie po plecach generalski zaszczyt, bo trafiłem, przypadkowo, do „Budrysówki", czyli willi, którą generał Kazimierz Sosnkowski machnął sobie w latach trzydziestych na zboczu Gubałówki. Z zewnątrz wciąż imponująca, w środku raczej ruina, ale i tak zachowała gorgonowo-dyzmiczny klimat międzywojnia, zakulisowych machlojek, flam w futrach i rządowego blichtru. Nie mogłem się oprzeć, zasiadłem w sfatygowanej berżerze, wyjąłem kajet, naostrzyłem ołówek i przeprowadziłem szybki, sierpniowy zamach stanu. Moim celem była radykalna sanacja związków frazeologicznych. Na początek wydałem najpilniejsze dekrety, resztę opracuję później:

– zakaz nazywania kredytu „produktem"
– zakaz używania słowa „oszczędzać" w znaczeniu „wydawać mniej"
– zakaz używania rymów w reklamach

Jutro obudzicie się w nowym, lepszym świecie. Nie ma za co.

27 sierpnia 2009
Zakopane – Czarny Dunajec – Jabłonka

Ludzie, których spotykam, najczęściej dziwią się, że idę sam. „Nie boi się pan"? – pytają. A ja dziwię się, że się dziwią, bo niby czego się bać? Najgorsze drapieżniki – politycy, marketoidy w korporacjach, niezależni doradcy finansowi, programiści na motocyklach – wszyscy oni zazwyczaj żerują z dala ode mnie. Bardziej się chyba bałem mijając na Krupówkach wycieczkę integracyjną z Warszawy, niż słysząc wilki pod Dziurkowcem.

Ale takie dłuższe wędrówki byłyby trudne bez dobrego słowa z zewnątrz. Nie tylko słowa zresztą. Wyjechałem mając resztkę oszczędności w kieszeni, bo prawie cały pieniądz poszedł na szpeje. Plecak, namiot, kijki, buty. Liczyłem, że po drodze przyjdzie pensja, ale przeliczyłem się i do Krynicy dotarłem mając raptem 50 złotych przy duszy. Szybkie chwilówki, najpierw od mojego taty, a tydzień później od Rafała, uratowały imprezę. Chyba za dużo jem. Albo za szybko idę. Albo sam nie wiem.

*

Tato oczywiście nie omieszkał mi przy tej okazji wypomnieć (nigdy nie wiem, kiedy żartuje), że przecież już sfinansował mi plecak i namiot. To prawda, ale tylko namiot. Przez osiemnaście lat PRL-u odkładał co miesiąc jakiś pieniądz na tzw. książeczce mieszkaniowej PKO, żeby jego syn miał na start pół kąta w bloku z wielkiej płyty. Syn

jednak nie wykazał zrozumienia – albo właśnie wykazał – skończył 18 lat i zlikwidował książeczkę. Gotówka ledwo starczyła na namiot, tak zwaną chińską dwójkę. Na wymarzony plecak z wewnętrznym stelażem już zabrakło.

Do dziś uważam, że była to bardzo dobra inwestycja. Zamienić wirtualne 44 metry kwadratowe (bo tyle – teoretycznie – miało być na książeczce) na dwie realne płachty brezentu to jak wygrać los na loterii. Ci, którzy likwidowali książeczki później, mogli już co najwyżej pójść na lody. Czasem myślę, że to był taki balon próbny wypuszczony przez władzę. Sprawdzano, na ile można przegiąć pałę, na ile można sobie pozwolić, ile można zrabować w biały dzień milionom ludzi. I wyciągnięto wnioski na następne lata. Można na wiele. I jeszcze więcej.

28 sierpnia 2009
Jabłonka – Babia Góra (Diablak) – Przełęcz Głuchaczki

Miałem nadzieję, że podczas wycieczki uda mi się skończyć kilka wierszy, może nawet książkę, ale poważniejsze pisanie i chodzenie na takich dystansach wykluczają się. Po prostu. Nawet te pospieszne notatki piszą się kosztem snu. Jak to leciało? Jesień tuż Panie, a ja nie mam tomu?

*

I to złudne wrażenie, że łażąc po górach 20 lat temu, miało się jednak nieco więcej doniosłych przemyśleń. Ale to błąd perspektywy – na połowie czasu mniej skłonny jestem jakieś przemyślenia uznawać za doniosłe. Myśli oscylują wokół kilku prostych wyrazów: iść, jeść, pić, spać, szczać, umyć się. Cieszą proste czynności i zdarzenia, jak wczoraj, kiedy udało się wreszcie kupić u świarnej góralki dwa litry świeżego mleka prosto od krowy. Dobrze, że nie widziałem siebie z zewnątrz, bo prawdopodobnie byłem żywą ilustracją powiedzenia „Cieszy się jak głupi do sera”. W sumie wszystko się zgadza, tylko ser był w stanie prenatalnym.

*

A z tym mlekiem to większa awaria. Kiedyś właściwie w każdej chałupie można było tanio i bez problemu kupić dzbanek mleka, kilka jaj, czasem ser. Teraz nie bardzo. Próbowałem parę razy, ale udało się dopiero na Podhalu. Bo rano podjeżdża mleczarnia i zabiera to, co dobre, żeby rozwodnić, rozmydlić, pogorszyć i sprzedać cztery razy drożej.

*

Iść, jeść, pić, spać.

29 sierpnia 2009
Przełęcz Głuchaczki – Przełęcz Glinne – Hala Miziowa

Od rana ciężki deszcz i po pięciogodzinnej orce w błocie bolesna chwila prawdy: jestem kompletnie nieprzygotowany na taką pogodę. Pałatka w strzępach, parasol wyrzuciłem, nie mam nic nieprzemakalnego. Tak, wiem, znam tę mądrość: nie ma rzeczy nieprzemakalnych, są tylko szybko schnące. Gorzej, jeśli nie ma jak wysuszyć. Mógłbym napisać, że w górach już czuć jesień, pobawić się w impresjonistę, podumać nad przemijaniem, pochylić nad listkiem i złamaną gałązką, ale chromolę. Nie ma co odstawiać Marcela Prousta z odparzoną dupą.

30 sierpnia 2009
Hala Miziowa – Ujsoły – Zwardoń

Prywatna kartografia – kiedyś przed schroniskiem „Dworzec Beskidzki" w Zwardoniu wisiała tabliczka „Tarnica – 25 dni". Dziś już jej nie ma, ale może to i dobrze, bo wprowadzała w błąd i niepotrzebnie zniechęcała turystów. Siedemnaście dni – tyle zajęło mi przejście tej trasy. Dyskopatio, wybacz.

*

Prywatna kartografia – im dalej na zachód, tym droższy wrzątek w schroniskach. Od Ustrzyk do Wysowej najczęściej za darmo. Potem zdarza się, że każą płacić. W Tatrach średnio 30 groszy. Dzisiaj w Zwardoniu już 50 groszy. Nie wiem, czy będzie mnie stać na herbatę w Karpaczu.

Próbowałem rozkminić tę ajencką pazerność, bo przecież pieniądz tu żaden, a niesmak pozostaje. I chyba o to chodzi, o zniechęcanie oldskulowych turystów. Przyjdzie taki, zaleje za friko chińską zupkę zamiast kupić tę samą zupkę za 10 zł w barze. Przypuszczam, że ten tani wrzątek zapisano w jakimś tajnym okólniku PTTK, bo inaczej już dawno temu wylaliby go na zbity pysk.

Ale zdarza się, przyznaję, że można zaparzyć sobie herbatę za „co łaska". Ta „co łaska" często wygląda podobnie – mniej lub bardziej dowcipnie sformułowana, najczęściej flamastrem na dużym słoiku po ogórkach, stoi sobie na honorowym miejscu w barze między przyprawami a sztućcami.

Zawsze wtedy chętnie sięgam do kieszeni i wrzucam do słoika kilka klepaków. Potem wyciągam rękę przed siebie, pod światło, i uważnie przyglądam się konturom dłoni. Czasem zmrużę oczy, gdy jakiś foton przemknie między palcami i zbombarduje mi siatkówkę. Badam, czy ręka faktycznie jest niewidzialna, jak chcą niektórzy, lub chociaż trochę przezroczysta. Nie jest. Albo to nie ta.

31 sierpnia 2009
Zwardoń – Istebna – Wlk. Soszów

Przed południem drugi *checkpoint* na mej trasie, czyli trójstyk granic – polskiej, czeskiej i słowackiej. Mógłbym już sobie odpuścić i powiedzieć, że właśnie przeszedłem północną granicę Słowacji – i cieszyć się z połowicznego sukcesu oraz racjonalizować porażkę. W tym akurat jestem bardzo dobry, byłbym świetny jako rzecznik prasowy każdego rządu.

Można by się teraz zastanawiać, jak to jest z tą słynną szklanką, gdyby nie absurdalna umowność punktów A i B, pomiędzy którymi się przemieszczam. Dziwne rozterki w ustach kogoś, kto od wielu lat robi jako otwieracz kocich puszek. Przecież wiadomo, że naczynie zawsze (zawsze!) jest do połowy puste. Powiedzmy więc, że jeszcze idę siłą gramatycznej inercji (idę, bo idę, bo idę) – kiedyś wprawiony w ruch jakimś miłym samooszustwem oraz obiecującą onomastyką na mapach: Sałasz Dupne, Koci Zamek, Sucha Psina, Wódka, Vino, Žulova.

Zaczynam kombinować, a to źle wróży. Nieomylny znak, że siada mi morale (nigdy nie było przesadnie wysokie) i nadchodzi kryzys. Albo już nadszedł. Dziwię się, że tak późno. Myślałem, że klapnę po dwóch tygodniach.

1 września 2009
Soszów Wlk. – Cieszyn – Kaczyce

Skończyły się góry. Wcześnie rano zszedłem z Wielkiej i Małej Czantorii, ominąłem niewielkie wzgórze Tuł i bez fanfar, oklasków, fajerwerków tudzież komitetów powitalnych i strażackich orkiestr dętych zakończyłem karpacki etap wycieczki. Trzeba było to jakoś skromnie uczcić – zaprosiłem więc sam siebie na obiad, a potem na kawę i ciastko. I to był fantastyczny błąd.

Cieszyński rynek odstraszył mnie nadmiarem ludzkości w wieku szkolnym – szybko czmychnąłem w jakąś boczną uliczkę i przytuliłem się do małej knajpki. Usiadłem w

ogródku, aby spokojnie zapalić i przemyśleć swoje życie w najbliższych dniach, czyli 120 kilometrów asfaltu między Karpatami a Sudetami. Kusiło mnie, nie ukrywam, żeby ten odcinek przejechać autostopem, ale z rozterek wyrwała mnie kelnerka, która przyniosła kartę. Lekko nachylając się, odsłoniła kawałek nielekkiego, ale ładnego biustu. Och. Oko, w tych sprawach łase jak Leica, niezawodne jak Nikon, szybkie jak Canon i niepodległe jak Zenit, po prostu musiało zarejestrować niewielki tatuaż nad lewym sutkiem.

Jednak nie autostopem. Przecież po Bramie Morawskiej nikt nie wędruje i to jest oczywiście absolutnie świetny i wystarczający powód, żeby ją przelecieć, to znaczy przejść. Co ona miała tam wytatuowane? Jakąś kaligrafię albo arabeskę? Za krótko się nachylała, żeby mieć pewność. Więc postanowione, idę z buta, a tymczasem trzeba coś zamówić. Na pierwsze pomidorowa, na drugie się zobaczy. Jeśli dziewczyna, przyjmując zamówienie na pomidorową, uchyli rąbka tajemnicy, może być od razu schabowy. W przeciwnym razie trzeba dać sobie jeszcze jedną szansę i zamówić drugie danie osobno. Nie ma pośpiechu.

Jak to nie ma pośpiechu? Planując trasę w czerwcu zupełnie zapomniałem, że dwa miesiące później dzień jest o kilka godzin krótszy i że przed dwudziestą zapada zmierzch. Niby banał, ale przed zmrokiem, kiedy czuję, że mam jeszcze siłę udźwignąć kilka kilometrów, muszę rozglądać się za noclegiem jak za tatuażem pod stanikiem kelnerki. Boże, czemu one to sobie robią? Czemu tatuują się akurat w miejscach, które ozdobników nie potrzebują? Pomidorowa zjedzona, schabowy też. Co robić? Z kelnerkami zawsze jest ten sam problem drwala – trochę głupio je zaprosić na kawę, nie wozi się drzewa do lasu.

Uchyliła. Przy drugiej kawie wreszcie uchyliła. A jednak napis, wymyślna kaligrafia. Znowu zbyt krótko, aby przeczytać, ale rozpoznałem litery B i R. Uff, już bałem się, że zbankrutuję zamawiając całą kartę dań, i że nie starczy mi na mapy. Bo nie wziąłem map – skompletowalem i przestudiowałem wszystkie, ale w ostatniej chwili, właściwie kilka godzin przed wyjazdem, uznałem, że są za ciężkie i nie warto ich dźwigać, bo jak będą potrzebne, to kupię na miejscu. Fatalna pomyłka, zupełnie nie przewidziałem, że przyjdzie mi rozstrzygać, co można sobie wydziarać na lewej piersi. Zamówić jeszcze jedną kawę czy po prostu zapytać? Jeśli po angielsku, to może „Breath”? Albo „Brave Heart”? Bo „breast” to byłaby w tym obfitym przypadku lekka przesada, co innego na małych pikutkach, takie być może potrzebowałyby dodatkowego przypisu.

Zamówiłem trzecią kawę: B i R są pewne, chyba jest jeszcze Y i raczej na pewno po polsku. Może „Bramy raju”? Niby nie wypada tak wlepiać się wzorkiem w cudze dekolty, ale z drugiej strony, jeśli jest napis, to chyba po to, żeby ktoś go przeczytał i wyciągnął wnioski na przyszłość? Skup się, Majeran, pisałeś o mapach. Wniosek na

przyszłość jest taki, że trzeba je wszystkie brać ze sobą, a te już niepotrzebne wyrzucać po drodze. Inaczej zawsze traci się czas szukając ich po schroniskach, kioskach i księgarniach lub nadkłada drogi idąc na czuja. Albo wpada w szaradziarskie pułapki zastawione między fiszbinami.

Zapytać? Wiedziałem, że czwartej kawy już nie przyjmę, serce by mi pękło. Co takiego można obwieścić światu tatuażem nad cyckami? Że żywią y bronią? Zdawałem sobie sprawę, że reszta dnia będzie koszmarem, jeśli się nie dowiem, ale dużo bardziej bałem się rozczarowania. Prawda częściej wkurwia niż wyzwala. O dwie kawy za późno, ale w końcu wziąłem się w garść. Starłem pot z czoła, otrzepałem i wygładziłem koszulkę, podszedłem do baru, uśmiechnąłem się najniewinniej i patrząc jej głęboko w oczy poprosiłem o zaokrąglony rachunek.

2 września 2009
Kaczyce – Bohumin – Bolesław

Wspominałem już, że ludzie są groźniejsi od zwierząt, a równina zdradziecka? Wystarczył jeden dzień, żeby otrzeźwieć.

Maszeruję asfaltem, a tu ni z gruchy, ni z pietruchy drogę zajeżdża mi opel corsa, z którego wyskakują dwie sztuki płci męskiej, na oko dwadzieścia kilka lat – i z pyskiem do mnie, że mają świadka, jak w barze w Chałupkach ukradłem ich koledze portfel i komórkę.

Nawet mnie nie zatkało. Raczej zirytowałem się, że jacyś natręci uprzykrzają się jak gzy i wybijają mnie z rytmu. Chłopcy bardzo winszowali sobie obejrzeć, co mam w plecaku i kieszeniach, ale ja miałem lepszy pomysł, który kulturalnie im przedstawiłem: niech zadzwonią po policję i wyjaśnimy sprawę, ja tymczasem idę dalej, a oni mogą mi naskoczyć tam, gdzie Bronisław Pawlik może pocałować w dupę Jana Kobuszewskiego w znanym skeczu Kabaretu Dudek.

Prawdopodobnie przez te trzy tygodnie łażenia trochę dzikości w sercu i oczach mi się nazbierało, bo śląscy kozacy (o dziwo) ustąpili i pozwolili odejść – ale nie do końca, bo wsiedli do opla i jechali na awaryjnych 50 metrów za mną. Zrobiło się niewesoło, bo wkrótce zmierzch, a ja wciąż miałem na karku dwóch narwanych wiejskich windykatorów.

Zatrzymałem się więc i, tak, żeby dokładnie widzieli, co robię, obfotografowałem ich auto, po czym sam zadzwoniłem na 997 jako biedna ofiara mobbingu drogowego. Chłopcy niemal natychmiast odjechali, dyżurny zaś policmajster (o dziwo)

potraktował zgłoszenie bardzo poważnie i wysłał do mnie patrol. Trzeba przyznać, że był miły i nie kazał stać w miejscu zdarzenia, lecz pozwolił iść dalej. Może skalkulował, że idę w jego kierunku i patrol spali mniej benzyny? Czterdzieści minut później uciąłem sobie jeszcze miłą pogawędkę z policjantami i na tym przygoda się skończyła.

Wieczorem, rozbijając na dziko namiot w rogu boiska LKS Ruch w Bolesławiu, pomyślałem, że doprawdy ciekawe obyczaje panują na Śląsku. Ktoś komuś kradnie komórkę i portfel, wiara rozsyła wici i miejscowa młodzież wsiada do swych tu i ówdzie błyszczących maszyn – i rozjeżdża się na cztery strony świata w poszukiwaniu złodzieja, który oczywiście ucieka pieszo, główną szosą, z plecakiem pełnym łupów na barkach i gorejącą czapką. Przykro mi, panowie, ubolewam z powodu waszej straty, ale ja to ktoś inny. No niefart. Sprawdźcie jeszcze na południowym zachodzie.

Ale policjant mówił, że mogli to być też początkujący przedstawiciele półświatka, którzy zwietrzyli łatwą okazję, bo samotny turysta może im wiadomo co. Kimkolwiek byli, nie grzeszyli ani determinacją, ani analityczną umysłowością. I bardzo dobrze, bo dzięki temu idę dalej. Zawsze miałem w życiu więcej szczęścia niż rozumu – i niech tak zostanie.

3 września 2009
Bolesław – Sucha Psina – Głubczyce

as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
tru – chło – so – wy – na – po – bo – czu – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt – as – falt –
su – de – ty – na – ho – ry – zon – cie

4 września 2009
Głubczyce – Jindřichov – Biskupia Kopa

Noc i ranek w internacie pełnym bardzo wykształconej młodzieży płci obojga. Znowu miałem szczęście. Dyżurny wychowawca najpierw chciał mnie spławić w deszcz, ale zauważył kijki trekkingowe i tylko spytał czy piechur. Ano piechur. Bo on też piechur. A skąd idziesz? A z Użockiej. A to dla piechura miejsce się znajdzie. Na wszelki wypadek powstrzymałem się od elokwentnego rozwinięcia tezy, że nie kije zdobią człowieka – i dobrze, bo oprócz klucza do suchego pokoju dostałem też cenne wskazówki, jak skrócić drogę na Czechy i dalej na Zlate Hory i Žulovą. Lekko licząc pół dnia w prezencie. Nigdy do końca nie wiesz, do jakiej międzynarodówki należysz.

*

Miałem właściwie skupić się już tylko na robieniu kilometrów; żadnych przygód, żadnej literatury, żadnych kontemplacji na łonie i piersiach natury, bo czasu coraz mniej. Jednak pod koniec dnia nie wytrzymałem, zboczyłem z trasy i wlazłem na Biskupią Kopę. Ale moja wycieczka już dawno temu straciła charakter krajoznawczy, a być może nawet nigdy go nie miała. Być może od początku więcej było w niej wyskoku i wyczynu niż ciekawości natury martwej i żywej? To dosyć cienka granica, bo jednak staram się chodzić i opisywać, chociaż uczciwiej byłoby powiedzieć: napierać i notować. Obserwacje siłą rzeczy muszą być powierzchowne. Jak ta dzisiejsza z Czech: ruiny domu na skraju wsi, powybijane szyby w oknach, dziurawy dach, do najbliższego domostwa kilkaset metrów. Samotna, wykluczona rudera. Na brudnym, zagraconym podwórku stadko cygańskich dzieci wokół mężczyzny, chyba ich ojca, który bezskutecznie, lecz hałaśliwie próbuje uruchomić jakieś urządzenie spalinowe, może kosiarkę, może piłę, nie widzę dokładnie. Głęboka bieda. Ujadający pies.

5 września 2009
Biskupia Kopa – Žulova – Przełęcz Piekło

Jest taka ludowa teoria dotycząca zdrowego odżywiania – bardzo mi bliska – która mówi, że wszystkie diety-cud można o kant jelit rozbić, bo organizm sam najlepiej komunikuje swoje potrzeby – należy więc jeść to, na co ma się akurat ochotę. Jeśli bierze cię chętka, powiedzmy, na bukiet wolnych rodników z witaminami E-338 i E-150d w kwasie własnym – to po prostu trzeba je przyjąć i nie wnikać.

Mijałem dzisiaj w drodze na Zlate Hory zorganizowaną grupę myśliwską i zastanawiałem się, czy da się tę teorię rozciągnąć także na życie umysłowe i społeczne. Jeśli całe serce, cały organizm podpowiada ci, że powinieneś komuś jebnąć, to może po prostu trzeba to zrobić w trosce o obustronną higienę psychiczną? Bo szli sobie wyluzowani, radośni, w wyprasowanych moro, w kapelusikach z niehomofobicznymi piórkami, wprost błyszcząc zrobioną w solarium opalenizną i trzymając za szyje martwe kaczki jak pęczki rzodkiewek. Ach, więc to tak właśnie wyglądają ludzie, którzy w znoju i gnoju poświęcają swój czas ochronie środowiska i biorą na siebie przykry obowiązek regulowania leśnych populacji? Biedni tanorektycy.

Jeśli nie wykonałem ułańskiej szarży z kijkami na dwururki, to nie dlatego, że powstrzymała mnie hipokryzja regularnego mięsożercy. Nie mam problemów z własną hipokryzją. Po prostu przyszła mi do głowy smutna i mało odkrywcza myśl, że samoograniczenie nie jest naszą najmocniejszą cechą gatunkową, i że właśnie mam przed sobą najlepszy dowód, że tej akurat dietetycznej teorii raczej nie należy wcielać w innych dziedzinach życia i śmierci.

Ale i tak bym im jebnął.

6 września 2009
Przełęcz Piekło – Śnieżnik – Międzygórze

– Nie boi się pan tak sam chodzić?
– A czego tu się bać?
– W górach nigdy nic nie wiadomo.

Hm. Już kilka razy w trakcie wycieczki ćwiczyłem ten lub bardzo podobny dialog, tym razem jednak okoliczności były szczególne, gdyż moim rozmówcą nie był ani zażywny emeryt nad Morskim Okiem, ani kuracjuszka w parku zdrojowym, ani drwal w lesie, ani nawet studentka polonistyki w bazie namiotowej, lecz zniszczony mężczyzna w brudnym, drelichowym ubraniu, ze strzelbą na ramieniu i solidnym myśliwskim nożem wetkniętym za połę kurtki. A że miejsce i czas były, by tak rzec, niespecjalnie zaludnione (góra Kowadło, siódma rano), to poczułem się trochę, ale tylko trochę, nieswojo i zacząłem nawet żałować, że przed wyjazdem nie poprosiłem Adama, żeby mnie nauczył kilku morderczych chwytów aikido.

Kłusownik. Najprawdopodobniej – albowiem byłem na tyle taktowny, że nie dopytywałem o szczegóły i szybko przekierowałem rozmowę z kwestii BHP na pogodę, przyrodę tudzież drogę na Płoszczynę. Zresztą nie bardzo wiem, jak taka

rozmowa mogłaby wyglądać? Przepraszam najmocniej, czy nie jest pan aby gajowym, który smaruje dzieci miodem i wsadza do mrowiska? Albo kłusownikiem? Tak, czasem też stępam, a czasem galopuję. Bez sensu.

Kilka minut później – obierając już azymut na Smrk i dalej na Śnieżnik, na którym miałem spotkać się z Rafałem, i ciesząc się, ciesząc, że znowu się udało, że znowu nie zostałem rozstrzelany – uświadomiłem sobie, że w przeciwieństwie do wczorajszych wypucowanych pacanów, którzy zabijali dla zabawy, ten człowiek nie uruchomił we mnie żadnej agresji. Może dlatego, że wyglądał na głodnego. Albo za mało się bałem.

*

Niewiele pamiętam. Wydawało mi się, że znam na wylot tutejsze szlaki i drogi, a jednak nie, co chwilę coś mnie zaskakuje, a przede wszystkim zaskakują mnie odległości. Na przykład wczoraj wieczorem, awaria nawigacyjna: zapada zmierzch, a ja nie mogę znaleźć skrótu z Žulovej do Bielic. Kilkanaście lat temu wiele razy tędy chodziliśmy z Kubą, Michałem, Pawłem i Arkiem przez zieloną granicę na czeskie piwo, ale wszystko się pozmieniało – szutrowe drogi pokryto asfaltem, wyznaczono nowe szlaki, stare zmieniono, polany to już nie polany, ale regularny las.

I znowu nieoceniona pomoc od Magdy, która na podstawie mojej stareńkiej mapy Jeseników nakierowała mnie na Przełęcz Piekło. Nie wiem, co było trudniejsze: wytłumaczyć jej przez telefon, gdzie ma znaleźć w moich szpargałach pudełko z mapami, czy wytłumaczyć mi, co czechosłowacki kartograf miał na myśli, drukując szlaki w kolorze granatowozielonym i ciemnoniebieskim. Najważniejsze, że jedno i drugie się udało, chociaż było już zbyt ciemno, by ryzykować zejście do Bielic. Rozbiłem więc namiot na przełęczy i zasypiałem z głową po czeskiej, a mniej szlachetnymi częściami ciała po polskiej stronie granicy.

7 września 2009
Międzygórze – Spalona – Zieleniec

Wczoraj późnym popołudniem Śnieżnik. Podejście od Płoszczyny okazało się wybitnie mięśniojebne, ale może to i dobrze, przynajmniej przypomniałem sobie, że ta góra to mój mentalny punkt bez powrotu. Podobnie chyba uznał Rafał, który pofatygował się tutaj z Wrocławia i przywiózł mapy, moralne wsparcie, niemoralne plotki i rewelacyjne batony. Nie wolno lekceważyć tego faktu. Rafał należy bowiem do specyficznego i hermetycznego rodzaju ludzkiego – jest administratorem sieci komputerowych, czyli osobnikiem, który w wysokim stopniu optymalizuje swoje

wydatki energetyczne, i który rzadko kiedy podejmuje działania ponad absolutnie niezbędne minimum. To, że chciało mu się tutaj ruszyć, powiedziało mi więcej o bliskości celu niż mapy, które przywiózł.

Schodząc do Międzygórza, minęliśmy Trójmorski Wierch. Rafał, z właściwą administratorom subtelnością, lecz mało oryginalnie, zauważył, że jest to jedyna w Polsce góra na granicy trzech zlewisk, więc można z niej nasikać do trzech mórz – Bałtyckiego, Czarnego i Północnego. Ja nie wiem, co ci faceci mają z tym sikaniem. Śmiem wątpić, by kobiecie przyszło do głowy wspinać się na wzgórze, żeby oddać mocz na trzy albo cztery strony świata.

Później pomyślałem, pomijając już kwestię płci, że to jednak bardzo charakterystyczne dla naszego gatunku, któremu sukces ewolucyjny zapewniła wybuchowa mieszanka mrocznych atawizmów i morderczej innowacyjności. Psu wystarczy obiec podwórko i naznaczyć wszystkie kąty, człowiek szcza totalnie, od razu na pół Europy i świata, ale to wciąż ten sam pierwotny terytorializm.

Nie, żebym potępiał. Zresztą mi też kiedyś przyszła podobna myśl do głowy. Na miejscu tutejszych władz postawiłbym na Trójmorskim Wierchu trzy repliki słynnej fontanny Marcela Duchampa, ażeby w sposób prawdziwie ludzki uczynić z prymitywnych instynktów wesoły show-biznes.

8 września 2009
Zieleniec – Karłów – Broumovské Stěny (Hlavňov)

Schronisko PTTK „Orlica” w Zieleńcu. To samo, w którym 20 lat temu prowizorycznie opatrywałem rozciętą do kości nogę. Wtedy jeszcze poważnie traktowałem prognozy pogody, a prognozy mówiły, że stoki będą oblodzone i narciarze powinni naostrzyć narty. No to naostrzyłem tak, że po pierwszej nieudanej krystianii dostokowej but mi nasiąkł krwią. Później, już we Wrocławiu, pielęgniarka szyjąc mnie grubymi nićmi napomknęła, że kobiety lubią facetów z bliznami. Niestety, moje koleżanki w liceum były innego zdania, a zwłaszcza taka jedna. Nie znały się. Albo o inne blizny chodziło.

*

Kijki, kijki, kijki. Spokojnie mógłbym napisać doktorat o ich wszechstronnym zastosowaniu. Albo haiku. Bez kijków tyle bym nie przeszedł, to pewne. Oprócz tego, że w trudniejszym terenie pomagają utrzymać równowagę, a w łatwiejszym nadają łazędze dyscyplinę i rytm, mają jeszcze jedną niebagatelną zaletę –

pozwalają trzymać na bezpieczny dystans puszczone samotrzeć wiejskie psy, a przynajmniej te bardziej oporne, do których nie dociera moja stanowcza i odstraszająca telepatia.

*

A właśnie, psy. Idąc tych kilka setek kilometrów, z masochistyczną wręcz perwersją przyglądałem się tabliczkom na bramach i furtkach. Prosty komunikat „UWAGA, ZŁY PIES" należał do rzadkości, dominowała raczej poetyka discopolowo-odpustowa: „ZŁY PIES, A WŁAŚCICIEL JESZCZE GORSZY", „DOBRY PIES, ALE MA SŁABE NERWY", „JA TU PILNUJĘ", „DOBIEGAM DO FURTKI W 5 SEKUND, A TY?". Ech, dlaczego oni nie wynajmą zawodowców? Jako perypatetyk pragnę oprotestować. Przyszły archeolog, który odkopie te tabliczki, będzie mieć zbyt łatwe zadanie: szybko wywnioskuje, że na przełomie tysiącleci istniała na tych obszarach prymitywna kultura klinowa, z której wygnano poetów. Poszczuto ich psami. Pieprz się, Platonie.

*

W tej sytuacji jedna, jedyna tabliczka „UWAGA, ZŁY KOT" musiała mnie wczoraj wzruszyć i spowodować, że dokładniej rozejrzałem się po okolicy. Lasówka, wieś przy drodze ze Spalonej do Zieleńca, przeładnie położona w dolinie między Górami Bystrzyckimi a Orlickimi, to miejsce, do którego będę chciał wrócić. Może na narty, na pewno na rower. Co dwie blizny, to nie jedna.

9 września 2009
Broumovské Stěny (Hlavňov) – Chełmsko Śląskie – Jarkowice

Słabo. Najpierw SMS od Magdy. Potem telefon od taty. Potem ja do Magdy. A potem to zdjęcie. Cyfrowy Polsat, kurwa. Bo nie chcieli mnie martwić. Bo idę. Bo kibicują. Bo sratatata. Ale drążę, pytam, wiercę dziurę w brzuchu i mózgu. No i wydrążyłem.

Przez pierwsze trzy dni były po prostu obrażone. Standardzik. Udawały, że nie poznają i gardzą. A w ogóle, co to za obcy im się po mieszkaniu kręcą i niech spierdalają.

Potem uznały, że starszy i młodsza są zamieszani. Niby mili, niby przychodzą codziennie, niby jeść, niby kuweta, a tak naprawdę własnoręcznie stoją za uprowadzeniem. Na bank. Przecież sam z siebie nie wyjechał, aż takim chujem chyba nie jest. A więc wojna. Syki i parsknięcia na początek, później w pakiecie

prawy sierpowy, wyprowadzany znienacka, na pełnym pazurze, prosto w łydkę lub stopę.

I znów zmiana taktyki, ale na krótko, może dwa dni. Wahadło odbiło i była miłość, dużo miłości i dręczenia miłością. Ocieranie, prężenie, prezentacja brzucha i maślane oczy. Czytelna petycja ciała. Uprzejmie prosimy przekazać temu palantowi, że my to my. Z góry dziękujemy. Podpisano: My.

Nie poskutkowało, więc skończyła się miłość, a zaczęła depresja, zapadka i zawiecha. Żadnych zbędnych ruchów. Przez dwa tygodnie Balbina siedziała w moim krześle jak sfinks dupą do świata, a Ptyś w szufladzie, na koszulkach, z nosem wciśniętym pod nieobecną pachę. Jadły niewiele, ale jadły. Ale nigdy przy nich. Oni tylko wchodzą i wychodzą.

Aż dziś Ptyś znikł. I to tak gruntownie. Tato wpadł w panikę, zadzwonił do Magdy. Pani Magdo, czy na pewno sprawdziła pani mieszkanie przed wyjściem? Bo nie ma kota, uciekł. Magda: już jadę!

Szukali chyba z godzinę. Wszędzie i jeszcze bardziej. A mi ani mru mru. W szufladach, w pralce, w zlewie, w kiblu i pod kiblem, w łóżku i pod łóżkiem, za książkami, pod kaloryferem i w szafce na buty. W szafce na buty! Sprawdźmy jeszcze raz – Tomek mówił, że Ptyś to fetyszysta. No jest. Nie ma. Jest. Kot w bucie.

I z dziurą w głowie.

Najpierw SMS od Magdy, potem telefony. Kiedy on to zrobił? Przedwczoraj mała ranka, a dzisiaj regularny oiom. Już byli u weta, mam się nie martwić. Wyślij zdjęcie, mówię. E, lepiej nie. Wyślij, mówię. Wysłała. No i mam. Ptyś, jego mać, terminator do kwadratu, pół łba rozdrapane do mięsa, a w oczach oczywiście pretensja, że wsadzili go w jakiś pieprzony kołnierz. Niech no on tylko wróci.

Chcę powiedzieć Magdzie, że będzie dobrze, jeszcze kilka dni, że są bardzo dzielni, wszyscy, ona, tato – Ptyś i Balbina może trochę mniej. Bo naprawdę myślę, że są dzielni. Łazić po górach każdy głupek potrafi, ale ogarnąć przez miesiąc dwóch wybitnych sawantów, to już jest lepszy osiąg. Chcę tak powiedzieć, ale przekombinowuję i wpadam w pętlę przekierowań, jak każdy, kto pełniąc obowiązki twardziela myli czułość ze słabością: martwię się, że się zmartwią, że się martwię.

Więc rzucam to swoje beznadziejne „Spoko, kocha, to poczeka” i w tym samym momencie dociera do mnie, że jednak jestem bezbrzeżnie tępy. Przecież to był komunikat. Że sukinkot to ukartował i uharatał, żeby przebić się przez zmowę milczenia. Że okiwał ich. Że specjalnie dał sobie założyć ten kołnierz, w którym

wygląda jak antena satelitarna, aby wysłać mi w kosmos ten jeden sygnał na milion: E.T. GO HOME.

„Cyfrowy Polsat, kurwa” – mruknąłem nie bez dumy i zagęściłem ruchy.

10 września 2009
Jarkowice – Śnieżka – Przełęcz Karkonoska

Pełna komunia ze światem: w czeskim schronisku pod Śnieżką mrukliwy Wietnamczyk sprzedał mi amerykańską Coca-Cola. Ale nie separował: równie serdecznie warczał na Polaków i Niemców.

*

Już wiem, że dojdę. Nie ma bata. I psychicznie jest to cienki moment. Z mojego punktu widzenia te dwa, trzy ostatnie dni wycieczki są zbędną i nużącą formalnością. Ciężko to wyjaśnić, nawet nie wiem jak to nazwać. Kompleksem Leonarda? Zasadniczy zarys został zrobiony, resztę zostawmy czeladnikom? To trochę jak z pisaniem – jeśli mimo wszystko udało mi się w życiu ułożyć parę tekstów, to pewnie tylko dlatego, że aż do ostatniej linijki nie wiedziałem, dokąd mnie zaprowadzą. Zaczętych a niedokończonych nawet nie policzę. Najczęściej od początku były już zbyt dobrze pomyślane, by później jeszcze się trudzić przelewaniem ich na papier. Łatwiej przecież hołubić w sobie idealne konstrukcje niż konfrontować je ze słownikiem.

Trzeba jednak będzie donieść odchudzone zwłoki do końca, bo to prostsze niż wytłumaczyć ów pokrętny mechanizm, którym mózg rozgrzesza mnie z nieróbstwa. Poza tym za dużo wokół Leonardów z głowami pełnymi arcydzieł i arcydziełami w toku, a za mało zwykłej, rzemieślniczej, lecz skończonej roboty.

*

A na ostatnich kilometrach mógłbym ułożyć mowę końcową do drzew, ptaków i kamieni. Ot, dla ostatecznego zabicia czasu, który i tak, mam wrażenie, został nieźle przeze mnie poobijany. Ale nie. Bo peregrynacje takie jak ta od początku są – lub szybko stają się – autoteliczne, zamieniają się w pielgrzymkę lub medytację, co kto woli. O żadnej pokrzepiającej puencie nie ma mowy, tym bardziej o zbawieniu, chociaż niewykluczone, że ich efektem ubocznym może być wyleczenie się z różnych młodzieńczych mitologii.

I nabawienie kilku nowych, ale tego akurat się zbyt dobrze nie wie.

11 września 2009
Przełęcz Karkonoska – Polana Izerska – Świeradów Zdrój (Czerniawa)

Nie przepadam za Karkonoszami i ich zatłoczonymi szlakami – i jak się okazuje z pełną wzajemnością, bo od świtu gęsta mgła, wiatr, mżawka. Ale karkonoska aura nie była tym razem zbyt chytra – to, co zwykle jest zmorą tych gór, czyli wybrukowane ceprostrady, dzisiaj okazało się właśnie zaletą – mimo nikczemnej widoczności bez najmniejszych problemów dotarłem na Szrenicę, a później do Jakuszyc. Wystarczyło patrzeć pod nogi i nie wpadać w Śnieżne Kotły.

*

Czasem myślę, że we mgle idzie się nawet lepiej niż wtedy, gdy dopisuje pogoda, a góry mamią perspektywą. Jak kilka dni temu, kiedy minąłem Pasterkę, a na horyzoncie ukazał się charakterystyczny masyw Śnieżki – powinienem się chyba oficjalnie ucieszyć, że znów mam punkt zaczepienia, jakiś znajomy cel i sens przed sobą, ale tylko westchnąłem i szybko przeliczyłem czekające mnie kilometry i podejścia na majeranogodziny odmierzane kijami o ziemię. W dłuższej trasie – takiej z dystansami maratońskimi przez wiele dni z rzędu – nie należy oczekiwać samych aktów strzelistych, epifanii i sprawiedliwej dystrybucji przygód. We mgle zawsze jest do pokonania raptem kilkadziesiąt metrów, a to dystans na siły i zamiary nawet najbardziej zmęczonego turysty. Kaszka manna. Jeszcze do tego krzaczka, jeszcze do kamienia, do zakrętu, do drzewa, za mamusię, za tatusia, za braciszka.

*

Na Polanie Izerskiej mgła próbowała mnie wykiwać i skrzętnie skryła Chatkę Górzystów. Ale nie ze mną takie numery, Herr Nebel. Trochę po omacku, trochę z pamięci, trochę po śladach na trawie – w końcu dotarłem do karty dań, z której wybrałem legendarny naleśnik jagodowy na cieście biszkoptowym. Wyszedłem ze schroniska nażarty jak watykański poborowy i udzieliłem miastu, światu i krowom we mgle mickiewiczowskiego błogosławieństwa: ¡me gusta!

12 września 2009
Świeradów Zdrój (Czerniawa) – Frydlant – Bogatynia – Zittau

W Świeradowie jedno było dla mnie jasne – mimo że do końca pozostało niemal 50 kilometrów, nie będę się rozdrabniał i spróbuję ostatni etap przejść w jeden dzień. Po prostu nie usiedziałbym w żadnym schronisku, choćby oferowało najlepszy wikt i opierunek, hiszpańskie spa, majski masaż, interesujący internet i Bóg wie co jeszcze.

Nie tylko chciałem skończyć wycieczkę tego dnia, ale również zdążyć na wieczorny pociąg do Wrocławia. Wstałem więc o trzeciej rano i nienerwowo, wręcz pedantycznie spakowałem plecak, uprzednio skonsumowawszy wszystkie zapasy, aby był jak najlżejszy. Nie śmiać się. „Uprzednio skonsumowawszy" bardzo dobrze oddaje tę skrupulatną zawziętość, z jaką szykowałem się do drogi. Tak po prawdzie, byłem sobą trochę przerażony.

Godzinę później ruszyłem w kierunku mety.

12 września 2009 roku, na trzy dni przed moimi urodzinami, o godzinie 13:05 doszedłem do słupka granicznego nr 1, czyli trzeciego i ostatniego trójstyku na trasie wzdłuż południowej granicy Polski.

Czy czułem radość, satysfakcję, euforię? Tak, bardzo krótko. Dosłownie kilkanaście sekund. Ale żadnych podskoków, okrzyków, przekleństw, przemówień na cztery strony świata. Chwilę później cała wycieczka wydała mi się zupełnie nierealna, miałem wrażenie, że trwała raptem kilka dni, jeden dłuższy wakacyjny weekend – i że to w sumie nic nadzwyczajnego. Że każdy mógłby to przejść. Wystarczy być umiarkowanie zawziętym sukinsynem. Wystarczy odrobina samozaparcia, nieco uczciwych przygotowań, szczypta doświadczenia i łut szczęścia, a przynajmniej brak pecha. Udało się, bo przez 1039 kilometrów nie miałem pecha.

Posiedziałem chwilę nad brzegiem Nysy Łużyckiej, puściłem kilka kaczek po wodzie i, zanim ruszyłem w stronę Zittau na pociąg do Wrocławia, wysłałem znajomym prostego, ale wyczerpującego temat SMS-a:

30 dni 19 godzin 48 minut

Into the Wild

(Postscriptum)

1.

Jon Krakauer opisał, a Sean Penn sfilmował historię Christophera Johnsona McCandlessa (*Into the Wild*, polskie wydanie pt. *Wszystko za życie*) – dwudziestodwulatka, który niemal z dnia na dzień porzucił swoje dotychczasowe życie, wszystkie oszczędności przekazał na cele charytatywne i pod przydomkiem Alexander Supertamp wyruszył w wielomiesięczną podróż po Ameryce Północnej. Jego celem i marzeniem była Alaska, w której chciał żyć samotnie i z dala od cywilizacji. 28 kwietnia 1992 roku wkroczył w alaskańską dzicz. Niecałe 4 miesiące później, prawdopodobnie 18 sierpnia, wskutek kilku nieszczęśliwych zbiegów okoliczności i braku wystarczającego doświadczenia myśliwskiego, zmarł z głodu, pozostawiając po sobie raczej kiepski literacko dziennik (zapisany na marginesach czytanych książek – m.in. Jacka Londona, Lwa Tołstoja i Henry'ego Davida Thoreau).



Christopher McCandless, autoportret przy Magicznym Autobusie (public domain)

Nie będę opowiadał tutaj całej historii Alexandra Supertrampa. Zainteresowanych odsyłam do książki Krakauera, a leniwych do Wikipedii lub w ostateczności do filmu Penna, chociaż film – nie ma co ukrywać – makabrycznie trywializuje przypadek McCandlessa, sprowadzając (fałszywie) jego motywacje do lewicującego światopoglądu i kompleksu Edypa. Ale nie wymagajmy zbyt wiele od Hollywood, w końcu nie pierwszy i nie ostatni raz wystawił swojego bohatera do Nagrody Darwina.

Niestety, najpierw zobaczyłem film. I bardzo mnie pan Supertramp zirytował. A zirytował mnie, ponieważ nie bardzo potrafiłem pojąć, co mu kazało pakować się w taką aferę. Rozumiem, że można buntować się przeciwko apartheidowi i głodowi w Afryce, ale żeby z tego powodu zagłodzić się na śmierć? Rozumiem, że młodzież ma parcie na przygodę, ale najczęściej zwycięża jednak instynkt samozachowawczy. Czyli rozumiem, że gościa nie rozumiem, co jest dziwne, bo przecież to mój niemal równolatek, raptem 3 lata starszy ode mnie. A mnie aż tak bardzo skleroza nie przygięła do ziemi, żebym wcale nie pamiętał, jaki byłem dwie dekady temu.

Oglądamy filmy, czytamy książki, podejmujemy podróże na własną miarę i własną miarą oceniamy. Alexander Supertramp podjął wyzwanie (bo tak przecież można nazwać jego wielotygodniowy pobyt w środku Alaski) – bez schronisk, bez prądu, bez telefonu, mapy, GPS-a i kompasu, bez szlaków, sklepów, pól namiotowych i bez ludzi – ale czy takie wyzwanie w ogóle może być traktowane inaczej niż ironicznie? Jeśli pokonałem sam siebie, to bardziej przegrałem czy bardziej zwyciężyłem? A jednak mimo tego infantylnego rysu, Christopher McCandless wciąż w jakiś sposób uwiera.

– *Nigdy nie miałeś ochoty całkowicie zerwać z dotychczasowym życiem i rozpocząć nowe, w innym miejscu i z czystą kartą?* – Zapytał kiedyś Robert (mój szef) i gdybyśmy akurat nie rozmawiali o Alexandrze Supertrampie, to pewnie pomyślałbym, że jest to niezwykle cyniczny sposób wręczenia mi wypowiedzenia.

– *Chyba każdy człowiek miewa taką ochotę. Ale, gdyby McCandless studiował Wittgensteina, a nie apartheid i kryzys żywnościowy w Afryce, to wiedziałby, że takie marzenie jest nie do zrealizowania w języku, a poza językiem nie ma najmniejszego sensu*. – Odparowałem we właściwym sobie, mędrkowatym stylu.

– *Przyniosę ci książkę, może zmienisz zdanie*. – Powiedział Robert i miał rację.

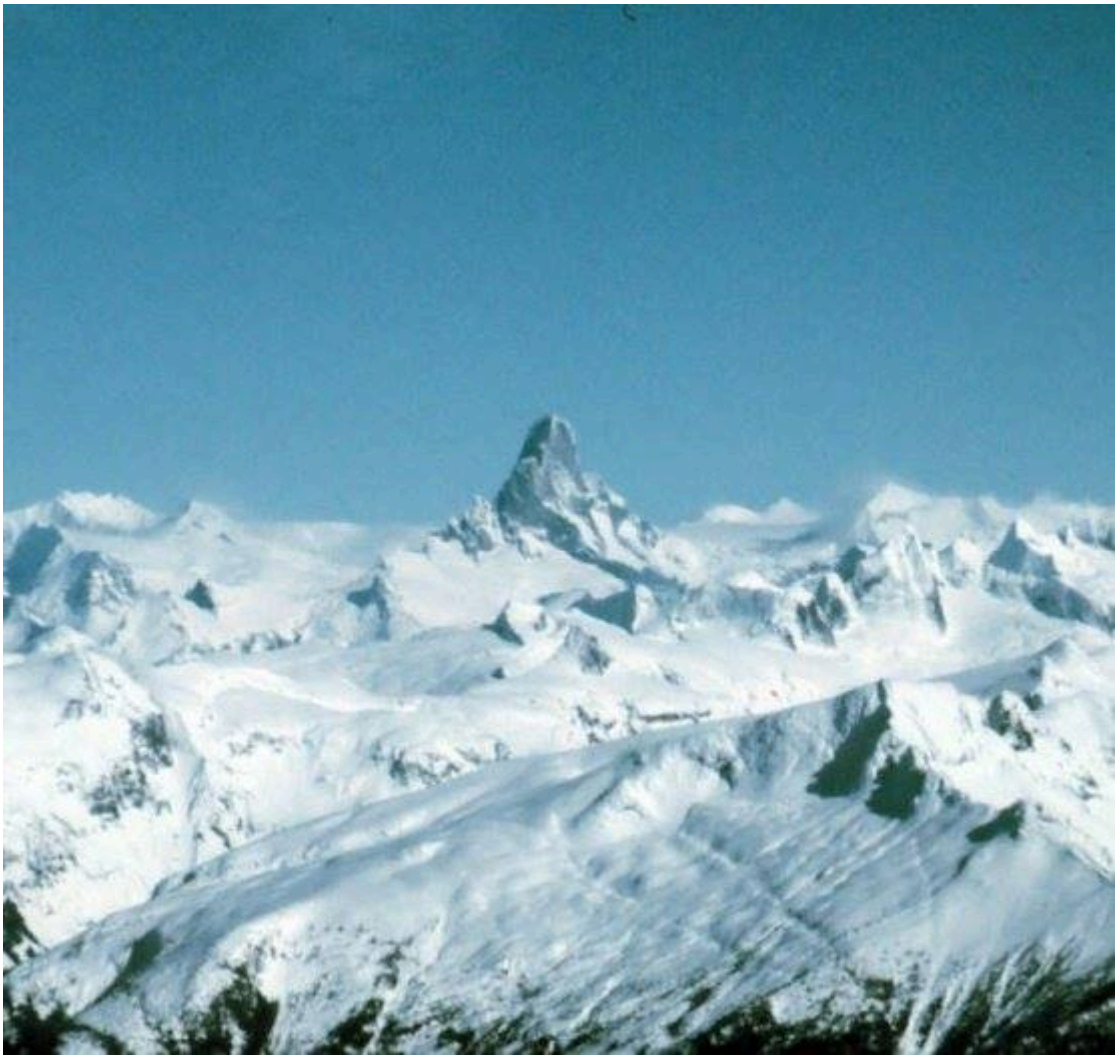
2.

Jako się rzekło, Sean Penn w gruncie rzeczy sprowadził młodzieńczy bunt Christophera McCandlessa do jego niezgody na społeczne nierówności oraz do konfliktu z ojcem. Reguły hollywoodzkie każą podawać konsumentom lekkostrawną wersję wydarzeń, więc filmowy McCandless, jako apostoł alterglobalizmu, budzi wyłącznie moją niechęć i politowanie.

Z drugiej strony, Jonathan Krakauer po publikacji pierwszego artykułu o McCandlessie (magazyn *Outside*, styczeń 1993) otrzymał wiele listów od czytelników, głównie z Alaski, mających mu za złe, że gloryfikuje nieodpowiedzialnego i aroganckiego młodzieniaszka, który poniósł bezsensowną

śmierć, bo zlekceważył dziką przyrodę. Ale to też uproszczenie. Sęk w tym, że to postać bardziej złożona, co zauważył sam Krakauer, zmieniając pierwotny, nazbyt naiwny tytuł swojego tekstu (*Death of an Innocent*) na bardziej metaforyczny (*Into the Wild*). Z całą pewnością McCandless był arogantem, bo to aroganci porywają się na rzeczy przez większość uznawane za nieroztropne, ale równocześnie z taką samą pewnością można powiedzieć, że wcale nie lekceważył alaskańskiego wyzwania, pokornie przygotowując się do niego niemal dwa lata. Czyli arogancja i pokora. Takich sprzeczności w jego życiu było znacznie więcej, co czyni z niego postać bardziej złożoną i wielowymiarową niż pokazuje nam to film, Wikipedia czy reakcje mieszkańców Alaski.

Krakauer w swojej książce opisuje nie tylko historię Christophera McCandlessa, ale także kilka innych, mniej znanych, lecz zakończonych tragicznie, alaskańskich wypraw. Co więcej, opisuje także swoją własną, dramatyczną przygodę, kiedy otarł się o śmierć, samotnie zdobywając Devils Thumb, a nie jest to zupełnie błahy szczyt.



Devils Thumb, fot. John Bortniak (public domain)

Czytając te opowiadania przypomniałem sobie kilka własnych, nieporównywalnie skromniejszych, pomysłów, które również mogły skończyć się tragicznie, z czego jednak zdaję sobie sprawę dopiero teraz, wiele lat później.

O jednym z nich opowiem.

Otóż na początku lat dziewięćdziesiątych wymyśliliśmy sobie, Kuba, Arek, Michał i ja, że zrobimy zimowe przejście Beskidu Niskiego. Sprawa wydawała się banalnie prosta dla takich chojraków jak my – nic, tylko spakować trochę grubsze ciuchy i w przerwie między Bożym Narodzeniem a Sylwestrem pyknąć te sto parę kilometrów łatwych gór z Krynicy do Komańczy. Jak wymyśliliśmy, tak zrobiliśmy, a nasza arogancja bardzo szybko została ukarana.

3.

Krynica przywitała nas mroźnym, lecz słonecznym porankiem i ponadmetrowymi zaspami. Od razu z cienkiego buta ruszyliśmy na wschód, w kierunku Lackowej, wyposażeni skromnie w dwa namioty typu szałas, zwane podówczas „chińskimi dwójkami". Bez tropików, na sztywnych, mosiężnych masztach, wymagające zdecydowanie twardego podłoża. Jakoś wcześniej nie przyszło nam do pustych głów, że mogą być kłopoty z ich rozbiciem na pulchnym śniegu. Do tego zwykłe pionierki, nieco grubsze skarpety, swetry, puchowe kurtki, trochę konserw i ciężka kuchenka gazowa. Ekwipunek zdecydowanie na jesień, a nie na ostrą zimę.

Zanim dotarliśmy do Mochnaczki, a to raptem 5 kilometrów od Krynicy, w butach chrzęścił nam zbrylony, półzimny śnieg. Nikt się tym nie przejął, a przynajmniej głośno nie przyznał przed innymi, bo odwrót po trzech godzinach marszu był zdecydowanie poniżej naszej kozackiej godności i wciąż przed granicą wytrzymałości.

Dopóki świeciło słońce, optymizm nas nie opuszczał, kiedy jednak zapadł wczesny zmierzch, przestało już być wesoło. Menażka wody gotowała się 40 minut, a stygła do zera dziesięć razy krócej. Co najmniej godzinę zajęło nam rozbijanie namiotu. Linki z trudem przymocowaliśmy do drzew i krzewów, bo o wbijaniu śledzi w śnieg oczywiście nie mogło być mowy. Drugi namiot już sobie podarowaliśmy.

I prawdopodobnie ta przypadkowa – bo wynikająca tylko ze zmęczenia – decyzja uratowała nasze beztroskie tyłki. Kto wie, czy w dwóch namiotach nie pozamarzalibyśmy parami na śmierć. A tak, choć w ciasnocie i duchocie, w czwórkę udało się jakoś przetrwać do bladego świtu. Pamiętam, jak w paralitycznej pozie próbowałem łapać kawałki snu: z łokciem w roli dodatkowego masztu, nienaturalnie

wysuniętym przed twarz, aby oddalić od policzków płachtę namiotu, na której skraplały się i natychmiast zamarzały w cienką warstwę lodu nasze oddechy.

Rano spakowaliśmy szpeje i właściwie bez słowa zmieniliśmy cel wyprawy: zamiast Komańczy najbliższy przystanek PKS-u we wsi Izby. Kiedy po kilku godzinach marszu w siarczystym mrozie okazało się, że na autobus trzeba jeszcze długo, długo czekać, a wokół nie ma nawet najlichszej wiaty, żeby schronić się przed wiatrem, któryś z nas w akcie desperacji zapukał do najbliższej chaty z prośbą o kawałek gorącej wody. Stara góralka, zobaczywszy, w jakim jesteśmy stanie, sama zaprosiła nas do środka. Na autobus poczekaliśmy więc w wiejskiej kuchni, przy dużym piecu, w którym buzował żywy ogień, z nogami w miskach z letnią wodą. Góralka z dezaprobatą kręciła głową i mruczała niby do siebie, ale tak, żebyśmy dobrze słyszeli: „miastowe a głupie".

Jeżeli więc nazywać Christophera McCandlessa bezmyślnym arogantem, jak czyni to wielu czytelników książki Krakauera, to dla naszej dziarskiej czwórki w ogóle brakuje dolnej skali inwektyw, chociaż przedsięwzięcia te są zupełnie nieporównywalne.

I można by spuentować te opowieści na marginesie książki i filmu w ten sposób, że takich dziarskich czwórek jak nasza są na świecie tysiące, a Alexander Supertramp jest ich patronem, świętym męczennikiem backpackingu. Jednak moja puenta będzie inna, ale dam ją dopiero za chwilę, bo nie chcę się zbyt szybko rozstawać z pewnym drobnym szczegółem z góralskiej kuchni we wsi Izby w Beskidzie Niskim, gdzie rozmrażaliśmy nasze górne i dolne kończyny po nieudanej wyprawie: jest nim małe, tranzystorowe radyjko, z którego oprócz trzasków i szmerów dobywały się dźwięki prostej piosenki Tiny Turner: *We Don't Need Another Hero*.

4.

Lojalnie ostrzegam, że zaraz będzie nieprzyzwoicie i sentymentalnie, gdyż zamierzam zacytować dwóch afektowanych i nieco werterycznie usposobionych dwudziestoparoletnich młodzieńców, którzy, jak się zdaje, niewiele wiedzieli o życiu. Nie mówiąc już o literaturze.

Rzecz brzmi nieprawdopodobnie, a jednak naprawdę wydarzyła się. Niemal w tym samym czasie, niewykluczone, że nawet tego samego dnia – 11 lipca 1992 roku – chociaż miejsca oddalone od siebie kilkanaście tysięcy kilometrów. A ponieważ jest to historia z gatunku kosmicznych koincydencji, to najlepiej zrezygnować z komentarza i dać mówić faktom.

W połowie lipca 1992 roku (dokładna data jest nie do ustalenia, ale na pewno po 8 lipca) Christopher McCandless, nie mając najmniejszego pojęcia o moim istnieniu, kończył właśnie czytać „Doktora Żywago" Borysa Pasternaka. Czarnym atramentem zaznaczył następujący fragment: „Okazało się więc, że tylko życie podobne do życia wokół nas, przenikające się równomiernie, jest życiem prawdziwym, i że szczęście, którym się nie dzieli, nie jest szczęściem... I to było najbardziej dokuczliwe". Na marginesie tego fragmentu odręczny dopisek McCandlessa:

Szczęście prawdziwe, tylko gdy dzielone.

Coś mnie tknęło. Ten fragment relacji Jona Krakauera wydał mi się jakby znajomy. Z niemałym trudem znalazłem w zakurzonych szpargałach gruby, stustronicowy zeszyt w kratkę, w którym prowadziłem dziennik. Z zapisków w zeszycie wynika, że 10 lipca 1992 roku, nie mając najmniejszego pojęcia o istnieniu Christophera McCandlessa, wyruszyłem autostopem z Wrocławia w kierunku Ustrzyk Górnych. Cel: przejście południowej granicy Polski. Dzień później, 11 lipca, już w Bieszczadach, zapisałem:

Może najgorszą rzeczą w samotnej wędrówce jest to, że nie ma nikogo, z kim mógłbyś podzielić się swoim zachwytem. Nieznany ci gatunek motyla albo ciemnoniebieski winniczek – one są tylko dla ciebie, nie mają więc żadnej wartości. Muszę zapamiętać to jedno – nic nie mam, dopóki nie mogę tego komuś ofiarować.

Ostrzegałem, że będzie sentymentalnie.